

Wychodzi w każdą
Sobotę.

Cena prenumeracyjna
w całej Austrii:
rocznie 8 złr.—półrocznie
4 złr.—kwartalnie 2 złr
w Niemczech:
rocznie 5 tal.—półrocznie
2 tal. 15 sgr.—kwartalnie
1 tal. 8 sgr.
we Francji:
rocznie 21 fr.—półrocznie
11 fr.—kwartalnie 6 fr.
Numer pojedynczy 20 ct.
Redakcja: Ulica
wałowa Nr. 19.

ŚWIT

TYGODNIK NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

Główne agencje: we Lwo-
wie księgarnia K. Wilda,
w Krakowie księgarnia J.
Wilda i A. Nowolec-
kiego, w Poznaniu księ-
garnia Zupańskiego.

Rękopisy nie przyjęte
do druku zwracają się w ra-
zie zażądania.

Szanownych autorów
i nakładców, życzących so-
bie znaleźć w „Świcie”
wzmiankę lub rozbiór kry-
tyczny swych dzieł pro-
simy o nadsełanie Redak-
cji egzemplarzy takowych.

Treść: Karczma. — Między niebem a ziemią, powieść przez Michała Bałuckiego. (C. d.) — Z ruin duszy, przez Bronisława Zawadzkiego (wiersz). — Książd Hugo Kollataj i jego prześladowcy, szkic biograficzno-krytyczny przez Henryka Schmitta. (C. d.) — Garbus z Bononii, poemat wieków średnich, przez Władysława Ordona. (C. d.) — Kalejdoskop, obrazy czaów i ludzi, przez Berlicza Sasa. (C. d.) — Pitagoras, ustęp z dziejów Hellady, przez Dr. Władysława Daisenberga. (C. d.) — Przegląd literacki. — Wiadomości naukowe, literackie i artystyczne.

K A R C Z M A.

II.

 nas jest jedna instytucja, bo tak ją trzeba nazwać, która dotąd tylko ku złemu służy, t. j. karczma, a która mogłaby stać się nader użyteczną...

Jak gromada tak i karczma u nas jest odwieczną; jest to naturalny, niezbędny dla społeczeństwa wiejskiego punkt zborny. Jeżeli wieś pierwiej istniała, jak miasto, to i karczma nierównie starszą jest jak wszelkie miastowe resursy, kasyna, restauracje itp.

Jakikolwiek obrót weźmie w Galicji sprawa propinacji, zawsze karczma pozostanie karczmą — może tylko ich liczba się wzmoże a przez to współzawodnictwo, tak jak w mieście: kto lepiej publiczności usłuży, ten liczniejszych mieć będzie gości. Dopóki takiego współzawodnictwa nie ma, jest sposobność i łatwość do innego współzawodnictwa pomiędzy właścicielami karczem.

Hola, o cóż to idzie, czy o to kto taniej da wódkę? Bynajmniej, niechaj się nikt nie obawia zamachu na swoją kieszeń; posłuchajcie dalej, a zapewne się porozumiemy.

Karczma jest dzisiaj taką, jaką jest lud wiejski; to mu daje, czego on potrzebuje. Lud jest ciemny, na poły dziki, mieszka po większej części w drewnianych lub glinianych (na Rusi) norach, nazwanych poetycznie chatami, wędzi się w dymie wraz z bydłem. Oprócz niewielu wyjątków, potrzeby duszy ludzkiej zaspakaja religią zmysłową, politeistyczną, czcią obrazów, księży, zabobonami — a zresztą rządzi się tylko popędami wspólnymi człowiekowi z zwierzętami. Jedną jeszcze ludzką uczuwa potrzebę: obcowania towarzyskiego i w tym celu spieszy do karczmy. Jakież jest to obcowanie? Oto w izbie brudnej, śmierdzącej schodzi się lud na to, aby być ofiarą chytrłości żyda arendarza. Ten spekuluje na wszelkie instynkta zwierzęce, na wszelką biedę ludu, on staje się jedynym pocieszycielem w wszelkich jego utrapieniach, nie żałuje wódki, nie odmawia kredytu, ułatwia go, wszystko przyjmuje w zastaw; lud się rozpija, zadłuża, zaniedbuje robotę, w biedzie i pijaństwie, wśród przekleństw i bijatyki podsyca w sobie bezustannie antyspołeczne żądze i nienawiści.

Oto czem jest dzisiaj karczma.

Ale zdaje się, chcielibyśmy, żeby było inaczej, żeby lud był moralniejszy, oświećszy, mniej dziki, żeby się zwolna zbliżał do stanu obywatela. Byłoby z tem wszystkim lepiej, tak całemu krajowi, jak każdemu t. z. szlachcicowi. Podniósłby się dobrobyt powszechny, podniósłoby się gospodarstwo, podniósłby się poziom potrzeb ludu, podniósłaby się wartość i cena wszelkich płodów, każda wieś stawałaby się zwolna miejscowem ogniskiem ruchu ekonomicznego, wymiany i przerabiania płodów, ożywiłby się i ułatwił ogromnie targ na wszystkie przedmioty życia; a na tem wszystkim zyskałby przede wszystkim każdy obywatel większy, a sprawy wszelkie publiczne, gminne, powiatowe, krajowe inaczejby szły, inny byłby nasz front w obec wszelkich nieprzyjaciół...

Więc nie przez ofiarność, nie z samego patriotyzmu (choć i to nie byłoby grzechem), lecz w własnym interesie swoim i swoich dzieci wartoby zacząć się starać, aby jakoś było lepiej.

Trudno trafić do ludu, bo jest nieufny i bojaźliwy — takim zrobiły go wieki i stosunki — więc chcemy trafić do niego na tej drodze, na której on sam już chodzi, więc między innemi chcemy trafić do niego przez karczme.

Nie tak trudno, tylko trochę dobrej woli. Zależy to prostu od warunków, na jakich się karczma wydzierżawia a reszta sama się znajdzie.

Więc niechaj arendarz będzie obowiązany karczmę, którą powinien odebrać czystą, utrzymywać czysto, niechaj obok wódki w zimę i słotę obowiązany będzie dostarczać grzanego piwa; niechaj w zimie obowiązany będzie mieć zawsze samowar i dostarczać herbaty (może być po 3 ct. szklanka), n. b. jeżeli to z propinacją nie koliduje gwałtownie. Piwo i herbata wprowadzone obok wódki są sprężynami cywilizacji, są to środki przeciw pijaństwu i bijatyce, przeciw kryminalnym prawom o gwałty.

A dalej niechaj arendarz obowiązany będzie utrzymywać w porządku gazety dla ludu. To bagatelę kosztuje, proszę państwa! Zagroda, Włóścianin, Dzwonek, Przyjaciel domowy, Przyjaciel ludu kosztują po 2 lub

3 złr. na rok, któryż właściciel karczmy śmie powiedzieć, że go nie stać na to?

Niechaj tylko w karczmie umniejszą się pijatyki i bijatyki, a pogadanka gości przybierze inną postać, mimowoli sięgną oni po gazetę, ktoś będzie głośno czytać — o nowych ustawach, o podatkach, o gospodarstwie, o sejmie, co w świecie się dzieje, o ulepszeniach, o budowie chat...

Sprawy te nie mogą ludu nie obchodzić; to przeciwnie naturze ludzkiej. A jak raz się nazwyczają słuchać o tem i gawędzić, to niezadługo stanie się to potrzebą.

I stawać się będzie zwolna towarzystwo ludu takim, że ucywilizowany człowiek będzie mógł z nim przestać. Bo teraz, czyliż lud obcuje z kim, czyj wpływ mógłby nań oddziaływać? Niechno zaś do takiej karczmy przyszłości zajrzy niekiedy i ktoś z dworu, i ksiądz i nauczyciel na pogadankę, na szklankę herbaty, na gazetę — nie będzie to sztuczne zbliżenie, ale naturalne — tak jak w miastach w resursie. Narzekają nieraz mieszkańcy wsi na nudę — otóż macie pod ręką sposób, żeby chwile tych nudów przyjemnie i pożytecznie zapełnić. Bo idźmy dalej. Jeżeli można bez trudu i ofiar urządzić to, co wyżej już powiedziano, to nie będzie trudno ulokować w karczmie czytelną ludową. Niechaj ona tam ma swoją szafę, a niech nią zarządza ktoś z gromady umiejący czytać, albo sam wójt, albo nauczyciel; niechaj pożyczą książki do domu, albo też do czytania w karczmie, a spisy książek niechaj leżą na stole obok gazet. Nie wszędzie jest szkoła i nie

wszędzie jest kościół, ale karczma jest w każdej wsi i w każdej mogłaby być czytelnia.

A gdy pójdą rzeczy tą drogą, to gdzież jest właściwsze miejsce na zebranie w sprawach publicznych, na odczyty, jeżeli nie w takiej karczmie. Oddziały tow. pedagogicznego, wędrowni nauczyciele będą mieli wtedy przysposobiony grunt. Nie trzeba szukać ludu, żeby słuchał, ani go zwoływać, bo on tam już jest. Oczywiście od razu to nie będzie — ale spróbujmy, zaglądamy do karczmy, przyzwyczajajmy lud do czystości, do trzeźwości, oswajajmy go z widokiem ludzi nie w siermięgę ubranych. Do dworu on nie pójdzie, zresztą wołanie go do dworu chybia celu — ale schodźmy się razem z nim tam, gdzie wszyscy są zarówno u siebie, bo w miejscu publicznem, a zobaczymy, czy to pó dzie?!

Powie ktoś, że trudno przeprowadzić te rzeczy przez arendarzów, żydów. Ba, to nie bierzcie żydów — a zresztą zdaje się, że zarzut niezbyt słuszny. Żyd, arendarz nie na tych przemianach nie straci, bo i jemu lepiej będzie w pośród ucywilizowanej wsi, której dobrobyt będzie wzrastał. Żyd pozna się na tem od razu, a nawet na niego i na jego dzieci przemiany te muszą oddziaływać. A przytem nie wymaga się od niego nic ciężkiego. Po dejmie on się wszystkiego — nawet dobrego, jeżeli to będzie dla niego stanowczym warunkiem utrzymania się przy karczmie.

Otóż jest sposobność, aby przez karczmę stworzyć sobie na wsi ucywilizowane towarzystwo — a że zatem idzie wszelkie dalsze błogosławieństwo, wszelkie ułatwienie dobrobytu i dobrego porozumienia — któżby mógł nie uznawać?

MIEDZY NIEBEM A ZIEMIĄ,

POWIEŚĆ

przez

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Ewa nie należała do eterycznych istot, trzymając ją w objęciach Adam nie mógł nie czuć jej; bujne i rozkoszne jej kształty miętko i powabnie oparły się na jego piersi i muszkułach ręki. Ciepło jej ciała, zapach włosów, falująca pierś — wszystko to działało silnie na umysł jego, był upojonym, odurzonym. Przytulił ją namiętnie ku sobie i puścił się z nią w taniec. Już dawno Stasia z Zygmuntem usiedli pomęczeni na ganku, on jeszcze tańczył, tak mu żal było rozstawać się z Ewą. Aż mu przypomniał musiała, że jest zmęczoną. Wtedy dopiero zatrzymał się i podał jej ramię, by ją odprowadzić na ganek.

— Nie myślałam, że pan taki zapalony tancerz — rzekła opierając się dość silnie na jego ramieniu, w czem ją usprawiedliwiała zmęczenie.

— Dlaczego? — spytał Adam.

— Myślałam, że pan jesteś flegmatyk. Dziś przekonałam się, że pan tylko udajesz takiego. Zaczynam mieć lepsze o panu mniemanie, bo nie cierpię ludzi o zimnej, rybiej krwi. A lubię tych, co się umieją zapomnieć.

— A pani, czy umiesz to?

— Domyśl się pan.

Rozśmiała się, spojrzała mu głęboko w oczy i odbiegła w stronę kuchni. Adam poszedł na ganek.

— Ach, jakiż ty zgrzany, zmęczony! — rzekła Stasia patrząc na niego z troskliwością. Wzrok jej w tej

chwili zawadzał mu, odwrócił się, poszedł o kilka kroków dalej i usiadł. Potrzebował być sam ze sobą.

Major rozochociwszy ludzi zostawił ich samym sobie, by się swobodnie bawić mogli, a sam z gośćmi przeszedł do pokoju, gdzie już podano obiad. Matkę Stasi usadowiono na pierwszym miejscu, major usiadł w końcu stołu vis a vis niej. Adama posadziła Ewa obok Stasi, a sama usiadła przy Zygmuncie. Rozmowa była bardzo ożywiona. Major dowcipkował, że nieraz matce Stasi aż łzy w oczach stawały od śmiechu; nawet Zygmunt ucieszony niezwykłą dobrocią Ewy i tem, że kazała mu usiąść przy sobie, był wesół i rozmowny jak rzadko. Dochodzące z podwórza wesołe okrzyki i muzyka były doskonałym tłem dla ożywionej rozmowy jedzących.

Podczas dłuższej przerwy między jedną a drugą potrawą Stasia zrobiła parę galeczek z chleba i podając je Ewie na talerzu, rzekła:

— Wybieraj.

Ewa wyciągnęła rękę i patrząc na Adama rzekła znacząco i z naciskiem:

— Wybrałam.

— No, którejż kuleczkę?

— Nie na talerzu, ale w myślach... i nie z tych, które ty mi podajesz. Nie lubię wybierać z tych, których mi narzucają.

— I któż to taki, czy wolno wiedzieć nazwisko jego? — spytała Stasia.

— To sekret.

— O którym się jednak kiedyś dowiemy.

— Wątpię.

— Więc może nawet ów wybrany nie wie o swoim szczęściu?

— Jeżeli się nie domyślił, to już jego wina.

Adam spuścił oczy i widelcem kreślił jakieś figury po talerzu. Zygmunt patrzył na Ewę wzrokiem wyrażającym wdzięczność i czułość, niewyraźne jej świadczenie zastosował do siebie. Dzisiejsza życzliwość Ewy względem niego ośmielała go do tego przypuszczenia. Ewa spostrzegła to i lekki uśmiech ironiczny przeleciał po jej ustach.

— Panie Zygmuncie — rzekła — nalej mi pan szklanek wody.

Zygmunt się zerwał i w pośpiechu nalewając rozlał wodę na obrus. Ewa rozśmiała się i rzekła:

— Dobrze, że pan nie należysz do tych wybranych przezemnie, bo za tę niezręczność dostałbyś pan dymisy.

Zygmunt zmarszczył brwi i usiadł zachmurzony. Przyczynę Ewy był zbyt wyraźny, by go miał nie zrozumieć. Do końca obiadu siedział posepny i milczący. Ewa jeszcze raz przez ten czas zakłóła go dotkliwie. Kiedy bowiem zgadało się o gustach, rzekła: że ideałem jej był zawsze brunet.

— Blondynów nie lubię — rzekła, krzywiąc się.

Zygmunt był blondyn.

— Dlaczego? — spytała Stasia.

— Bo są wodniści i bez energii.

Naraz, jakby sobie przypomniała, zwróciła się do Zygmunta i rzekła:

— A, przepraszam, zapomniałam, że pan blondyn. Mówiłam w ogóle; pan może stanowić wyjątek.

— Nie, pani, nie chcę się wyłączać od ogólnej reguły. Przyznaję się do wszystkich wad blondynów.

— Brunet czy blondyn, to nic nie znaczy — zakonkludował major. — Znałem ja blondyna z takim ogniem, z taką energią, że to, panie! istna siarka. To też przypłacił to życiem. Pamiętam; było to w Dębowej woli. Staliśmy tam kwaterą czas dłuższy; mój blondynek zakochał się w córce dziedzica, panienska także nie była od tego i słodkie oczka do niego robiła. Ale wtem zjawia się jakiś fircyk z Warszawy, markiz czy baron, protegowany przez mamę. Panna z początku krzywo na niego patrzy; ale powoli, powoli, jak jej zaczął nadszakać, paplać francuskie komplementy, tak ją i ujął sobie i mój blondynek poszedł w kąt, w odstawkę. Śmieliśmy się wszyscy z niego, bo w pułku wiedziano dobrze o tym całym romansie; namawialiśmy go, że powinien fircyka przez kij lub szablę przesadzić. Blondynek nic na nasze przycinki nie odpowiadał; tylko wesa kręcił, a oczy mu niespokojnie biegały na wszystkie strony. Aż jednego rana dowiadujemy się, że ta cała historia wzięła gorszy koniec, niż przypuszczaliśmy. Wyobraźcie sobie, że nasz blondyn nic więcej nie zrobił, tylko sobie w łeb strzelił i pannie.

— Dlaczegoż nie rywalowi? — odezwała się z oburzeniem Ewa.

— A Bóg go wie! My tak samo się dziwili.

— A ja się nie dziwię — rzekł Zygmunt — rywal nie był tu nic winien; tylko panna.

— Panna? — spytała Ewa.

— Śmierć rywala nie dawała żadnej pewności owemu panu, zabiwszy jednego mógł się ich spodziewać stu, dla których panna równie go porzucić mogła.

— A jeżeli go nie kochała? — mówiła znowu Ewa z ogniem.

— Wszak podobno go kochała, tak pan major mówił.

— Tak nam się wszystkim zdawało.

— Mogła była zmienić gust.

Zygmunt na ten argument rozśmiał się zimno.

— To nie obrona, pani. Miłość nie jest zabawką, ale obowiązkiem. A cóżby była zrobiła ta pani, gdyby to już było po ślubie?

— Po ślubie... to inna rzecz.

— Czyż słowo dane nie w kościele ma mniej obowiązywać?

— Ach, pan traktujesz miłość, jak pańszczyznę. Słuchając pana, można sobie zbrzydzić miłość. Żałuję tej, którą pan zaszczytysz kiedy swoją miłością.

Zygmunt ruszył się niespokojnie; oczy jego zaśkrzyły się dziko, jakby przez nie błyskawica przeleciała. Szczęściem nikt nie zauważył tego ruchu. Stasia spojrzeniem usiłowała dać znak Ewie, by nie dręczyła tak biednego Zygmunta.

Niedługo potem skończył się obiad. Ewa zabrała znowu panie do swego pokoju; panom podano kawę czarną na ganek. Major zapaliwszy fajeczkę zeszedł do ludzi pogawędzić trochę. Na balkonie został Zygmunt z Adamem.

— Więc to jest owa Stasia? — spytał Zygmunt — do której pisywałem ci sonety?

— Tak — odrzekł Adam nieco chłodno i obojętnie.

— Zazdroszczę ci takiego skarbu. Z tą kobietą na pewne można ci wróżyć szczęśliwe pożycie. Ież tam łagodności i dobroci serca. Miłość takiej kobiety musi być balsamem dla duszy. Dlaczegoż ja nie trafiłem na taką!

— Wszak jeszcze trafić możesz.

— Czy drwisz? Dla mnie już nie ma wyboru. Ta, albo żadna. Zbyt wiele zapłaciłem za tę miłość, bym mógł się jej wyrzec. Wiem, że najgorzej umieściłem moje uczucia; ale to darmo... to już takie moje przeznaczenie. Marnotrawstwo było familijną naszą wadą. Ja nie mam co marnować i zmarnowałem uczucie. Kapitał serca rzuciłem na najrezykowniejszą grę, wszystkimi mówi, że się rujnuję napewno; jednak cofnąć się nie chcę. Widziałeś ją, przysłuchiłeś się dziś trochę, masz wyobrażenie, co to za kobieta, jak umie szarpać i męczyć. A takie życie, to piekło prawdziwe. Nigdy spokoju, nigdy pewności. Oh! czuję, że mnie to strawi.

— Ja sądzę, że najgorsza pewność byłaby lepszą od tego stanu, w jakim się teraz znajdujesz. Gdybyś raz stanowczo ją zapytał?

— Myślę właśnie o tem. Ale tak z gołymi rękami nie można; muszę mieć coś pewnego. Zdecydowałem się przypuścić ostatni szturm do ciotki o pożyczkę. Jeżeli odmówi, zapożyczę od żydów, sprzedam im za bądź co wszystkie moje nadzieje spadkobierstwa, byle mieć jaki taki kapitał w ręce, z którego mógłbym utrzymać i ja i siebie.

— Czy major nic nie ma?

— Gorzej niż nic, bo ma długi. Żyje bez oglądania się na jutro, bez myśli, co się z nią stanie. Moim więc obowiązkiem myśleć o tem. Trzeba raz zacząć działać na seryo. Dotąd bawiłem się marzeniami.

Gdy to mówił Ewa ukazała się na balkonie. Przyszła zaproponować im, czyby nie chcieli przejść się z paniami po ogrodzie. Zobaczywszy ich zajętych żywą rozmową, spojrzała przenikliwie na Zygmunta i spytała:

— O czemże rozmowa? Może nie w porę przyszedłem i przerwałem? Może pan Zygmunt daje Adamowi jakie objaśnienia i rady?

— Nie, pani, tym razem rady tyczyły się mnie samego.

— I czy wolno wiedzieć co pan sobie doradził?

— O tem dowie się pani wkrótce.

— Umieć być cierpliwą. A teraz proszę panów.

Zaprowadziła ich na drugą stronę domu do ogrodu, gdzie Stasia z matką czekała na nich. Wszyscy razem poszli w głąb ogrodu... Był to raczej park olbrzymi teraz zaniedbany i zdziczały, niemniej przeto piękny i pełen różnaitości, uroczych miejsc. Aleje z czasem zamieniły się w ciemne tunele, tak gęsto liśćmi zarosły od góry, z czego utworzyło się sklepienie, przez które żaden promień słoneczny nie zdołał się przedrzeć. Rzućcane przez brzozy nasiona dziś już utworzyły piękny przejrzysty laszek brzozowy drgający w słońcu drobnymi listkami, jak złotymi blaszkami; gazon zamieniły się w bujne łąki a miejsca ścieżki tak zarosły trawą i krzakami, że w niektórych miejscach tworzyły zielone zapory nie do przebycia prawie.

Ewa wśród tych labiryntów chodziła śmiało i pewnie, znała tu każde przejście, każdą piękniejszą ustron i trzymając za rękę Stasię prowadziła ją ze sobą. Matka z Adamem i Zygmuntem postępowała za niemi.

Stasia nie mogła ukryć pewnej trwogi, jaką w niej budziły te ponure aleje i gęszcze i rzekła do Ewy:

— Wiesz co, moja droga, jabym się tu bała sama iść w te miejsca.

Ewa rozśmiała się serdecznie.

— To nie teraz — rzekła — ale wieczór, kiedy ciemność nadaje jeszcze więcej dzikości tym miejscom, a księżyc oświeci tu i owdzie aleje i promienie jego, że jakby duchy chodzą po tych gęszczach — wtedy dopiero rozkosz tu chodzić.

— I nie boisz się chodzić tu wtedy?

— Czego?

— Zawsze to jednak straszne robi wrażenie.

— Owszem, ja to lubię, zdaje mi się wtedy, że jestem w jakim zaczarowanym zamku zaklętą księżniczką, że z za krzaków zjawi się jaki król lub książę, który mnie oswobodzi z tych miejsc i powiedzie do jakiej stolicy.

— Nie myślałam, że pani taka marzycielka — odezwał się Adam, który idąc niedaleko za niemi przysłuchiwał się ich rozmowie.

Ewa zwróciła się ku niemu i patrząc mu bystro w oczy odrzekła:

— Nie jest to marzycielstwo, jest to raczej ludzenie się z konieczności. Kto ma lichą obecność, musi ją sobie łątać jak może. Gdybym miała pałace przestałabym marzyć już o nich.

— Ciekawy byłbym widzieć panią przebiegającą tę gestwinę i zarośla przy blasku księżyca. Musi to być bardzo urocze zjawisko.

— Spytań się pan pana Zygmunta, on pana objaśni jak to wygląda, do czego jestem wtedy podobna?

— Do dziwożony — odrzekł Zygmunt z jałowym uśmiechem.

— Widzisz więc pan, że widok niezbyt ponętny.

— Owszem; tylko niebezpieczny.

— Dlaczego?

— Dziwożony uwodzą nocnych marzycieli na bezdroża.

— W takim razie pan Zygmunt całkiem niewłaściwego użył porównania, bo ja tylko uciekam przed nim — rzekła zdziwiona trochę, nie mogąc strawić porównania.

— Ewuniu! — upomniała ją po cichu Stasia.

— Co takiego?

— Za ostro mówisz do niego. Gotów się obrazić.

— Ach, daj to Boże. Skorzystałabym tylko na tem, nie nudziłby mnie tyle.

Rozmowę tę prowadziły półgłosem, że idący za niemi panowie słyszyć jej nie mogli; mimo to Stasia z przestachem obejrzała się, tak się bała biedaczka, by Zygmunt z gestu nie domyślił się treści rozmowy. Ale Zygmunt opowiadał właśnie coś jej matce. To ją uspokoiło.

Byli właśnie na brzegu lasu brzozowego. Stasia odetchnęła tu swobodniej.

— Ach, jak tu dobrze, słonecznie, ciepło — rzekła — usiądźmy tu trochę.

— Ty lubisz taką cichą sielankę — rzekła Ewa oparłszy się o drzewo i patrząc na Stasię siadającą na ziemi. — Stworzonaś do cichego życia.

— A ty?

— Ja lubię burzę i ciemności... w ogóle wszystko, co niepewne jeszcze, co zakryte, bo wtedy wszystkiego spodziewać się mogę.

— Czy tak dużo pragniesz od losu?

— O! bardzo wiele, moja droga.

— A jeżeli ci się to życzenie spełni?

— Czekanie samo już jest szczęściem. Wolę czekać na coś wielkiego i nie doczekać się, niż poprzestać na małym. Nam kobietom wolno wszystkiego się spodziewać, mężczyznom wolno sobie wszystko zdobywać. Dlatego nie rozumiem mężczyzny, który mogąc chcieć wiele, przestaje na małym. Jest to brak odwagi. Gdybym była mężczyzną, musiałabym dojść bardzo wysoko. Jestem pewna, że pan Adam zgodziłby się na moje zdanie.

— Wątpię.

— Zobaczymy. Otóż idą. Spytań go się. Panie Adamie, jest tu spór o pana: co pan wolisz burzę czy spokój?

— Nie miałem burz w życiu — odrzekł skromnie.

— Pan? artysta? To mnie dziwi. Ja myślałam, że nie można być wiernym tłumaczem uczuć ludzkich, skoro się ich nie zna z doświadczenia. Więc małajecie panowie rysy z natury, a uczucia z pamięci... to dziwne.

— Instynkt zastępuje tu doświadczenie. Zresztą studujemy uczucia na drugich.

— Na drugich? I jakież byś pan w tej chwili mnie dał uczucie?

— Pani jesteś dla mnie nieczytelna.

— Bo pan umiesz czytać tylko na jednej książce.

Stasia zarumieniła się i spojrzała na matkę — a ta odpowiedziała jej wzrokiem pełnym miłości i zadowolenia.

— Oj, trzepałkowska z Ewuni — rzekła chcąc przerwać milczenie, jakie zapanowało po ostatnich słowach Ewy. — Dobrze ojciec twój powiada, że ciebie nikt nie przegada i zawsze twoje musi być na wierzchu.

W tej chwili odezwał się od strony domu donośny głos majora „hop, hop!“

— Major szuka nas jak w lesie — rzekła matka Stasi śmiejąc się. — Odpowiedźcież mu panowie.

Adam odpowiedział majorowi i niezadługo ten złączył się z towarzystwem. Przeszli wszyscy po nad staw, na którym były dwie łodzie. Ewa zaproponowała przejażdżkę po wodzie. Stasia lubo bała się pływać, jednak zgodziła się na to. Lekliwie i nieśmiało wchodziła do łodzi oparta na rękę Adama, który wprowadziwszy ją i usadowiwszy na ławeczce, chciał usiąść obok niej.

Ale Ewa zatrzymała go pytaniem.

— Czy pan umiesz wiosłować?

— Wszystko, tylko nie to.

— W takim razie przejdź pan do mojej łodzi,
a pan Zygmunt usiądzie ze Stasią.
Zygmunt, który już był na łódce Ewy, wysiadł
choć nie z wielką chęcią i przeszedł do Stasi. Adam

usiadł przy Ewie. Ta szybko odepchnęła łódź od brzegu
i popłynęła na środek stanu. Starzy państwo zostali na
brzegu na ławeczce pod kasztanami.

(C. d. n.)

Z RUIN DUSZY.

Są grzbiety stromych gór, podarte w strzepy
I rzucone na błękit, jak obelisk smutku,
Są w biodrach nagich drzew tesknące sepy,
By wstęgi swoich dni usmętnić krótką,
Pożarciem zabłąkanych ptaszek na lazurze...
Są duchy pełne łez, stargane w życiu,
Do rozpękniętych łon pragnące tulić różę
I więzące krzyk serca w ust niemiem spowiciu,
Duchy złamane przez burzę,
Choć rozkochane w życiu!...

One czasem do zimnych marmurów przypadną,
A czasem idą pieścić aż kurhan cmentarny,
Złudzeni, że z posagów tych miłość wykradną,
Albo dotknięciem przerwą sen grobowców marny!

Na twarzy ich się pali wiązanka płomieni,
Co pierś nurtują,
A z drzenia tych Ossyańskich rozpoznasz półcieni,
Jak głąży czują!

Znałem jednego... Blady był, marzący,
Jak owionięta gwiazda mgły oponą,
Raz go widziałem — duchem był kłęczący,
Niby artysta przed białą Madonną,
U stóp schylonej po nad nim kobiety...
Z fiołków i srebrnych łez miała przepaski
Nad smukłym łukiem pogodnego czoła,
A by podwoić łona śnieżne blaski,
Dwie różę były wplecione w gorsety,
Które jej kibić objęły dokoła.

Kochał ją — dłonie złączyli gorące,
Jako się łączyły dwie strugi eterów,
I na jej łono złożył usta drżące,
Łowić zeń echo falujących szmerów;
Potem się spletał pocałunkiem z różą —
Ale wnet opadł, jak listek odwiany
Nagle od krzaka ojczystego, burzą —
Kobieta struła ów kwiatek różany...

Bronisław Zawadzki.

KSIĄDZ HUGO KOLŁATAJ

i jego prześladowcy,

szkie biograficzno-krytyczny

przez

HENRYKA SCHMITTA.

(Ciąg dalszy.)

Gdyby Siemieński raczył być uwzględnić wszystkie
te okoliczności, nie byłby tak błahęj przyczynie, jak
sancyta z 14 Maja i 16 Czerwca 1793 roku przypisał
wzięcie w pilną robotę książki rzeczzonej, czem nietylko
Kolłataja ile tych właśnie srogą dotknął obelgą, których
w innem miejscu swej przedmowy nazywa szczerymi
i prawdziwymi patriotami. Myśl wydania kiedyś takiej
książki zaprzętała niewątpliwie patriotów, którzy poczu-
wali się przecież do obowiązku zdania narodowi sprawy
z swych czynności w sejmie. Tej myśli mógł się nawet
doczytać w zbiorze listów, który sam uskutecznił. I tak
powiada Kolłataj w liście do Naruszewicza, pisanym
z Krzesławic 1 Sierpnia 1792 (str. 4 T. I): „Jeżeli
mi JWpan chcesz co napisać od króla i z swych wła-
snych wiadomości, oddaj list JW. Strasserowi, a dojdzie
mię niezawodnie. Co zaś najwięcej mię interesuje, jest:
abym wiedział, czyli będą się robić po innych woje-
wództwach konfederacye w asystencji Moskwy? czy król
wyda uniwersały na sejmiki? kiedy sejm będzie i jak
długo? gdzie go zechcą złożyć, w Grodnie czy Warsza-
wie? co myślą utrzymać z dzieł naszych a co uchylić?
jak się zanoszą ze strony Moskwy na postępy z tymi,
których mają za hersztów roboty naszej, w liczbie któ-
rych i mnie zapewne kłaść będą? Wszak to godzi się
wiedzieć, choćby i króla mojem imieniem upraszać.
Wierność moja warta jest tej otwartości, bo to regulować
mię będzie w pracy tej, o której mi JWpan przy poże-
gnaniu mówiłeś, a do której ja już zacząłem notować
sobie niektóre dobre myśli.“ W liście zaś do Stan.
Potockiego pisze 19 Sierpnia 1792 (str. 18 T. I): „Nie

piszę osobnego listu do JW. Marszałka (Potockiego Ign.),
ale upraszam JWpana, abyś mu najszczerszy z mej
strony oświadczył ukłon, abyś go upraszał o przysłanie
mi słowo w słowo rozmowy jego z królem przy złożeniu
marszałkostwa, bo właśnie teraz się zatrudniam opisa-
niem dni trzech, t. j. 21, 22 i 23 Lipca. Złe tego nie
użyję, zarezam na moją przyjaźń i wdzięczność, jakie
JW. Marszałkowi od dawna winien jestem. Komunikuję
Panom wiadomości, które tu w Szląsku złapałem, że
podział Polski ułożony od pięciu miesięcy.“ W listach
pisanych we Wrześniu i Październiku 1792 do Szczo-
rowskiego żąda przysłania książek i rękopisów swoich,
co także świadczy, że się wtedy zajmował układaniem
dzieła, w którym zamierzał opisać wypadki ostatnich lat
czterech.

Z przytoczonych wyjątków widać, że pierwotnie
sam Kolłataj miał napisać dzieje sejmu czteroletniego.
Później zgodzono się na to, by celem prędszego uskutecz-
nienia tej pracy podzielić ją między siebie, a kto do
niej wchodził, wykazałem już poprzednio. Opisanie nawet
owych trzech dni, o którym wspomina Kolłataj w liście
do Stan. Potockiego, przydzielono temuż a nie jemu.
Zdaje się zresztą rzeczą niewątpliwą, że pracę tę dlatego
głównie rozebrano między siebie, aby ją przyspieszyć,
co znów jest wskazówką, że po wkroczeniu Prusaków
i wypowiedzianym jawnie przez Moskwę i Prusy
w oświadczeniu z 9 Kwietnia 1793 zamiarze
nowego zaboru dzierzaw polskich uznano niezbędną po-
trzebę co prędszego ogłoszenia jej drukiem, aby oświecić
publiczną opinię w kraju i za granicą i wykryć oraz,

na kogo spada odpowiedzialność za świeże nieszczęścia, które dotknęły ojczyznę.

Nie tu miejsce wchodzić w krytyczny rozbiór tej książki, która w swoim czasie tyle miała rozgłosu. Z natury swej nie była ona dziełem historycznym w prawdziwym wyrazu tego znaczeniu, ale raczej pracą publicystyczną, która tem samem jako utwór z pewną wybitną tendencją musiała popaść w stronność, nieuniknioną we wszystkich zapasach stronnictw politycznych. Pozostanie ona zawsze cennym materiałem do dzieł owego czasu, lecz nie uchodziło nigdy za jedyne doń źródło, jak błędnie mniema Siemieński.

Twierdzenie zaś jego, jakoby ta książka nie mało się przyczyniła do zaszczepienia wewnętrznej w narodzie waśni, której echo dotąd się odzywa, jest niedorzeczne. Coż bowiem jako dzieło historyczno-publicystyczne zawiera w sobie? Oto opis mniej lub więcej wyczerpujący wszystkiego, co się działo w Polsce począwszy od zwołania sejmu czteroletniego w r. 1788 aż do zamknięcia sejmu grodzieńskiego w Listopadzie r. 1793. Zgodziwszy się nawet z Siemieńskim, że jej autorowie chcąc przygotować umysły do ukartowanego wybuchu, poruszyli w niej wszelkie namietności przeciw partyi tryumfującej, a dopuszczając się w przedstawieniu wypadków stronnictwo, umieli zręcznie osłonić grube błędy konstytucjonistów, aby całą odpowiedzialność zwalić na przeciwników a mianowicie na Stan. Augusta: wolno go wzajem zapytać, czy opowiadając w niej zdarzenia współczesne, a zatem znane powszechności narodowej, byliby potrafili przyczynić się do zaszczepienia waśni wewnętrznej w narodzie, gdyby fakta rzeczywiste nie były już utworzyły przepaści, oddzielającej na zawsze Targowiczów skalanych zbrodnią współnictwa z Moskwą w pogwałceniu ojczyzny, od reszty narodu? Nie przeczę, że konstytucjoniści, którym jako ludziom Opatrzność nie udzieliła daru nieomyślności, mogli się dopuścić wielu pomyłek a nawet grubych błędów; lecz z drugiej strony nie zdoła podobno i sam Siemieński zaprzeczyć, że ich stronnictwo, do którego należeli najzacniejsi i pełni poświęcenia patrioci, szczerze pragnęło dobra ojczyzny i sumiennie pracowało wśród danych okoliczności nad ubezpieczeniem jej bytu, całości, godności i niepodległości, czego o przeciwnikach jego żadną nie można powiedzieć miarą.

Nie była to zatem waśń zręcznie wywołana, do której zaszczepienia mogłaby się przyczynić książka zręcznie napisana, a co więcej, waśń ta nie wynikała nawet ze sporu dwu stronnictw walczących z sobą, czy to o przewagę wpływu czy też o zasady, lecz była koniecznym następstwem rozbiicia narodu na dwa nieprzyjacielskie obozy, z których jeden złożony z ogromnie przeważającej większości tegoż walczył o całość i niepodległość ojczyzny, a drugi złożony z garstki wyrodków chciał w spółce z Moskwą wtłoczyć na nią dlatego głównie jarzmo zawisłości, aby dogodzić swej zemście i zapewnić sobie panowanie pod zwierzchnictwem moskiewskim. Że patrioci nie pragnęli zaszczepienia waśni, dowodzi najlepiej postępowanie ich tak zaraz po uchwaleniu ustawy rządowej 3 Maja, jak również wówczas, gdy Targowiczanie dzięki pomocy moskiewskiej zupełnym cieszyli się tryumfem. W pierwszym bowiem peryodzie nie powodowali się ani zemstą ani nienawiścią ku inaczey myślącym, ale najłagodniejszymi środkami starali się przyciągnąć ich do siebie, a dziś możnaby ich raczej winić o zbytnią wyrozumiałość i łagodność, niż o surowość. W drugim zaś uchylając się przed prześladowaniem za granicę, obowiązywali się wzajemnie uroczystem słowem, że nie będą tworzyć osobnej partyi w kraju ani szukać pomocy u dworów europejskich, aby w tak krytycznej

chwili nie rozdawać narodu a sąsiadom nie nastęrczać dogodnego pozoru do nowego podziału Polski. I teraz więc nie myśleli o zaszczepianiu wewnętrznej waśni, chociaż boleć musieli nad zniszczeniem dzieła swego, którem chcieli ocalić ojczyznę. Oświadczała się nawet z gotowością podania ręki do zgody przeciwnikom, byle przynajmniej utrzymać całość ojczyzny.

Posłuchajmy, co o tem wszystkim pisze Kollataj 9 Lutego 1793 w liście do Strassera, w którym (str. 10 T. II) powiada: „Co to za ślepe zaufanie Targowickich, którzy mniemali, jakoby postrachy o wkroczeniu króla pruskiego miały brać swój początek z Lipska, jakoby my tych postrachów używali na utrzymanie przychylnych umysłów do konstytucyi 3 Maja. O gdyby oni mogli odczytać wszystkie listy moje do WPana pisywane, przekonaliby się, że wczesne postrzeżenia, o których ostrzegałem, pochodziły ze szczerzej chęci ratowania nieszczęśliwej ojczyzny. Wszak z Alt-Wasser pisząc donosiłem, że ten układ ostatecznie przyjętym został jeszcze w Kwietniu roku zeszłego. Nie przestając na tem, zgłosiłem się do P. Bruńskiego, kiedy on był w Brześciu, aby ostrzegł p. Szczęsnego (Potockiego), że Moskwa zupełnie porozumiała się z królem pruskim względem podziału Polski. Lecz Targowiccy tłumili wszystkich i upewniali, że mają najsołenniejsze zaręczenia całości granic Rpltej, lubo tego wyrazu w całej deklaracji moskiewskiej nie widać, lubo w postępach Moskwy każdy cokolwiek rozsądku mający mógł dostrzegać, że ona nie chce mieć Polski rządnej i całej, ale ją uważa jako za kraj spekulacji do innych projektów. Jakoż gdyby Moskwa chciała całości i rządności kraju polskiego, dozwoliłaby takich absurdów, jakie się od samego początku widzieć dały, to jest: zrobić wprzód konfederację jeneralną, nim się zrobiły po województwach partykularne? Zrobić ją za krajem wcześniej i dać jej fałszywą datę dlatego, aby odpowiadała zamiarom deklaracji i wkroczeniu wojska moskiewskiego do Polski i zrobić generała moskiewskiego hetmanem litewskim z woli narodu? nakłonić konfederację do przybrania na siebie całej powagi sejmu, a sejmu zwołania nie dopuścić? skłonić króla do akcesu, a potem go opuścić w sposób pełen uragowiska? Ziroytować ludzi wojskowych, aby się oddalili? Wojsko podzielić na drobne konsystencje, obnażyć go z amunicji, artylerji i ducha dbania o swą sławę? Rozłożyć po całym kraju wojska rosyjskie, a Wielkopolskę excypować od tak uciążliwej lokacji? Zatkąć uszy na korzystne samej tylko Moskwie projekta, a bezprzesłanne czynić wyrażenia, że Polska musi tem być, czem ją mieć zechce Moskwa? Ja nie rozumiem, jak tego p. Szczęsny nie mógł widzieć od samego początku. Co go tak daleko zaślepilo, że się niebezpiecznej dla swego sumienia a okropnej dla narodu podjął roboty? To naturalna konsekwencja, do której przyjsz musiało. Trzeba było koniecznie Moskwie wystawić na czele człowieka takiego jak on, bo inaczej nie byłby naród zbałamuconym; trzeba jej było konfederacji polskiej, bo wyraźna wojna Moskwy za jej interesem nie dałaby żadnego pretekstu królowi pruskiemu niedotrzymania aliansu; ale mogła Moskwa wejść do Polski bezkarnie, gdyby wprzód nie zaspokoila chęciwości pruskiej? Wyrzekano na tych, co mu chcieli za poprawę traktatu handlowego oddać Gdańsk i Toruń, a nikt nie pomyślał, że kiedy Polska nie ułoży się z nim o jego pretensje, Moskwa chcąc go odzyskać ułoży się z nim tak, jak on sam żądać będzie. Nie potrzeba już teraz apelować do przyszłości. Zbyt przedko odkryło się, kto pragnął zguby narodu. Jeżeli zemsta mogła na moment przynieść jaką nieczystą pociechę, przepłacić ją teraz brzemieniem goryczy i smutku, kto

postrzeże, że się podjął być narzędziem rozszarpania swej ojczyzny? Dopiero teraz podobno zobaczają Targowiccy, że się w takim samym stanie należeli jak konfederacya radomska, co tamtym Car to tym Igielström, co tamtym Repnin, to tym Sievers rozkazywać będzie. P. Szczęsny miał bardzo smutny przykład w domu na własnym ojcu. Musiała być gwałtowną namiętność która go ośmieliła przedsięwziąć krok tak okropny i która go oddaliła od tych, co szczerze z nim ojczyznę uratować chcieli. Nie wiem, jakimi stopniami szły porozumienia z rodziną i dobrze myślącymi, nie wiem, co tego człowieka przywiązało do Moskwy. Wszak on na samym początku w liście do jenerała Müllera pisany oświadczył się być przyjacielem Moskwy, kiedy jeszcze o konstytucji 3 Maja nikomu się nie śniło. Oddalił się od robót sejmowych i od owej chwili zdawał się być przeznaczonym na zrobienie rewolucji, gdy go Moskwa do tej roboty zawoła. Kto takowym sposobem krok za krokiem śledzić zechce serce jego, ten przyznać musi, że niepospolita namiętność przemogła nad nim, aby się stał przyczyną

nieszczęścia ojczyzny a zgryzoty całego życia. Nieszczęśliwa korona elekcyjna, tentoc grzech pierworodny naszych magnatów, źródłem jest haniebnego upadku Polski i póki tylko w prawach naszych znajdować się będzie, choćbyśmy najlepszą formę rządu przepisali, zginiemy przez samą chciwość korony, która do tego punktu zaślepia magnatów polskich. Nie może p. Szczęsny mówić, żeby nie miał potrzebnych przestróg. Wszystko, co się zowie najhardziej w Polsce, ugięło się przed nim, błagała rodzina, broniła go od początkowego prześladowania w sejmie, perswadował książę Adam Czartoryski, ja nie mając z nim żadnej bliskiej zażyłości, uwielbiałem go w pismach publicznych i wiele obiecywałem po jego enocie. Posełano po niego do Jass, a moge się pochwalić, że długo wstrzymywał zapal sejmowy przeciw niemu. Cóż to pomogło? Ogłosił się marszałkiem, wszedł z wojskiem nieprzyjacielskim, ucisnął cały kraj, przelał krew obywatelską i upodlił wojsko. Na cóż? żeby się stać narzędziem podziału kraju.

(C. d. n.)

GARBUS Z BONONII,

poemat z wieków średnich

przez

WŁADYSŁAWA ORDONA.

(Ciąg dalszy.)

Tak żyje Allan i tak młodość łudzi
Śpiewem, muzyką i mądrością siwą.
Lecz i w obłokach białych grom się budzi,
Darii kryje iskrę wulkanu strasliwą,
A w młodem sercu śpią takie pożary,
Których nie zgasi święty Januاری!

Raz w dzień niedzielny, gdy lud tłumny spieszy
Do świątyn pańskich — z daleka od rzeszy
Allan, z gorącym po nad księgą czołem,
Z nieznaną przedtem burzą w głębi łona,
Czytał królewskie pieśni Salomona,
Symbol miłości Chrystusa z kościołem!
Och jakież słodkie usta król-poeta
Kładł na tę fletnię, co śpiewała Panu!
Pieśń ascetyczna — jak anachoreta,
Świeża — jak jedrna woń pszennego łanu,
Synogarlica iście rozpieszczona,
Pieśń nad pieśniami — ta pieśń Salomona!

"Oblubienico moja, jesteś piękna!
"Od twarzy słońca cudniejsze twe lice,
"A oczy twoje, jako gołębie,
"A włosy twoje jako z Galaadu
"Trzody kóz wełną skądzierzone czarną;
"Zeby twe — stado owiec, gdy się garna
"Z kąpieli każda do swojej macierzy,
"Z tych żadna sromu nie uczyni stadu,
"A skronie twoje wśród czarnych kędzierzy,
"Jak winnej łoży owoc granatowy;
"Jak dwoje bliźniat-sarniat gdy się pasą
"Między liliami — piersi twoje obie,
"Wszystkie swe skarby Pan wysypał tobie,
"Oblubienico moja, pyszna krasa,
"Pieśni twe hymnem najcudniejszym Panu,
"Pod twym językiem płynie miód i mleko,
"A kiedy przy mnie przejdiesz niedaleko,
"Woność szat twoich jak wonność Libanu."

Tu przestał Allan — bo już dzwony były
Srebrzystym dźwiękiem, jak śmiechy dziewczęce,
Skruty za oknem, mdlejący, bez siły,
Młodzieniec stanął i załamał ręce,
Bezbronny całkiem w nieznanej mu mece,
Patrzył przed siebie martwy i pochyły
I w ranę swoją srogi palec wkładał
I porównywał ten swój świat podziemny
Z tym białym ludem, co szumiąc zapadał

Niby gołębi stado... w portyk ciemny...
Tam słońce lśniło, jak Pan wielki, hojne,
A w blaskach jego igrały, jak tęcze,
Orszaki pięknych kawalerów strojne,
Z ręką na szpadzie, z brzęczącą ostrogą;
Senackich lektyk złocone poręcze
Poważnie ciżbę przerywały mnoga;
Wiewały wstęgi, kaftan aksamitny,
Tań się o srebrne blachy pancernika
I tylko motłoch, starce i kobiety
Zakonnny habit, doktorów birety,
Czerniały w pośród barw harmonii szczytnej,
Jak muchy w złotym tyglu alchemika;
Jęcząc żebraków rój wyciągał ręce;
Z świątyni płynąc kadzidla się wili,
A organ huczał... a dzwony wciąż były
Srebrnymi dźwięki — jak śmiechy dziewczęce...

Naraz się cały tłum zachwiał i schylił,
Jak zgięte wichrem ciężkie kłosa żyta
I jak padalec pękł na dwie połowy:
Środkiem szła z dumną powagą kobieta,
W prawicy niosła psalterz kolorowy,
Ogon jej szaty, jak wąż purpurowy,
W pieszczonych zgięciach zwiłaj się i pylił
Prochem posadzki, na schyłone głowy;
Po płytach dźwięcznie tętniały jej kroki
Nianki jej śladem nakrywane pilnym,
Przeszła i zniknął czar ciszy głębokiej,
Tłum drgnął pochlebny jej szmerem przychylnym,
Improwizacy trysnęły potoki
Bogaetwu, krasie i przymiotom gwoli
Tej pięknej córy meza z głosem silnym
W Radzie senatu — Bianki Foskoli.

A Allan patrzył martwy i pochyły,
Z gestem modlitwy wyciągając ręce
I słyszał: w uszach jego dzwony były
Srebrnymi dźwięki — jak śmiechy dziewczęce.

I zdało mu się, że tam przy chrzcielnicy
Z ręką na szpadzie rycerskiej, a druga
Z święconą wodą — kloni się dziewicy
I na jej dłoni dłoń swą trzyma długo,
A święta woda wraca wrzącą strugą
Z jej palców w serce jego i zamienia
Duch jego w morze z miodu i płomienia.

Pałac słodko morze się to burzy,
I ze dna ciska perły i korale,
Lecz naraz z głębi jego się wynurzy
Smok i potwornie rośnie po nad fale,
Na szyi jego łańcuch i obroza:
To smok Pamięci z Namietności morza.

I myśl młodzieńca w słup solny zastyga,
Patrząc za siebie jak Lotowa żona,
Na formę swoją spojrzysz się i wzdyga,
Gotowa bluźnić niebiosom — szalona!
Potem po ziemi toczy wzrok i niebie,
Nieszczęsny, wszędzie widzi tylko — siebie!

Lecz znowu gieniusz fantazyi skrzydlaty
Zlewa mu w serce balsamy i kwiaty.
Młodość i miłość — dwie wróżki przemożne,
Kładą nań miękko ręce po koleci:
I w nocy serca w pójczy bogaty
Jak paproć czarów strzela kwiat nadziei.

Odtąd zaległy pyłem księgi stare,
Marną ich mądrość była dla Allana
I mistrz sędziwy ledwo daje wiarę,
Gdy próżno do drzwi swego ucznia puka:
On błdzi miastem do zmroku od rana
Za śladem Bianki — ściga ją i szuka...

Raz wreszcie, zda się, los go szczęściem darzy:
Gdy późną nocą pod Foscolich murem
Stoi z wejrzeniem jasnym, to ponurem,
Skrzypnęła furtka i z uśmiechem w twarzy
Pełnym tajemnic, wyjrzy nianka stara
I w cieniach nocnych zbliża się jak mara.

— „Cny kawalerze,” rzecze, „znam twe troski
„I widzę kędy serce cię prowadzi,
„Zaufaj ninie słudze Matki Boskiej,
„Może cię wesprze a pewno nie zdradzi.
„Senior, ty kochasz?”

„Cicho!” Allan rzecze,
Jakby raz pierwszy usłyszał to słowo!
I wiatr zaszumił po nad ich rozmową...
Lecz widać było z ruchu rąk i głowy,
Nianka mówiła gorąco i wiele,
On słuchał drżący, senny, jak bez mowy,
Potem pistole brzęknęły srebrzyście,
Stara szepnęła:

— „Więc jutro w kościele
„Sam się przekonasz... a czekać nie wiele.”
I cisza. Tylko w sadzie drżały liście.

Och, ta noc krótka — jakże była długa!
A świt poranny — jak był dziwnie złoty!

Gdy mistrz Allana przybył doń w południe
Spotkał go we drzwiach tylko stary sługa.
Wiec medrzec usiadł i pełen tęsknoty
Czekał i księgi opylał sieroty.
A chwile ciężko biegły mu i nudnie,
Już ciemno było, gdy ktoś stuknął w bramę,
Wszedł do izdebki i padł ciężko w progu,
Jak potępieniec, bluźniąc Panu Bogu...
Allan!... Lecz rysy jego nie te same:
Zezerniałe, wpadłe; blask gołębi oka
Iskrami siana skryła noc głęboka.
Wstał, zarumienił się, jak zorza, krwawo
I schylił oczy w ziemię bez łez — próżne,
Potem położył na stół rękę prawą,
I rzekł do mistrza: — „Dała mi jałmużnę!...“
Tu dłoni rozkureczy i grosik się stoczył,
Mistrz wstał i ucznia rękę, którą zboczył
Ściskając pieniądz, otarł krajem szaty,
Popatrzył chwilę, jak ta ranna dusza,
Za każdym drgnięciem rwała się na szmaty,
Dał mu do ręki — Marka Aureliusza,
Pokazał niebo — i wyszedł z komnaty.

(C. d. n.)

KALEJDOSKOP

obrazy czasów i ludzi

przez

BERLICZA SASA.

(Ciąg dalszy. — Patrz Nr. 22.)

Ale wróćmy do zaniechanego przedmiotu.

Rząd ogłosił oficjalnie śmierć cesarza Aleksandra I. Kapitanowie-sprawnicy, każdy w swoim powiecie, jeździli po obywatelskich dworach, i przyprowadzali do wiernopoddanej przysięgi imperatorowi Konstantemu I. Ludowi kazano także przysięgać po cerkwiach. Wojska dopełniły tej ceremonii w pułkowych sztabach swoich; władze administracyjne w Sobotach grodów powiatowych i gubernskich; żydzi, w synagogach. Konstanty, był wtedy cesarzem Wszechrosyi! Od małego do wielkiego, wszyscy uważali go za swego prawego monarchę; a choć truchleli w obec tej nowej ery politycznej kraju, pogodzili się stopniowo z wolą przeznaczenia, i myśleć o tem przestali. W tem się znowu poruszyły ziemskie policie; znowu, rozbiegli się kapitanowie-sprawnicy po grodach i siołach, nagłać do wykonania powtórnej przysięgi, lecz innemu już monarsze... Mikołajowi! Obywatelstwo, dopełniło wiernopoddanego aktu bez wahania się — bo cóż miało robić? Zdziwiony tą, tak rychłą zmianą panującego, lud pogwarzył trochę i pokiwał głową, ale skończył tem, że posłuchał perswazyi sprawników i popów swoich. Co do wojska, nie tak z niem łatwo poszło. Wierność żołnierska, niezwykłością faktu przerażona, długo się opierała rozkazom i namowom władz swoich, w przekonaniu, że ów Mikołaj, którego tak prędko po

Konstantym carem obwoływano, nie był jej prawym monarchą, lecz uzurpatorem. Pamiętam, w jakim z tego powodu był kłopotcie generał Kalm¹⁾, w sąsiedztwie naszym z brygadą konsystujący. Gdyby nie to, że posiadał miłość żołnierza i szacunek, Bóg wie czemu się skończyło! Generał dywizyi Kornilow niemniej się namozolił w tłumaczeniu. Działo się to samo i w innych centrach wojskowej konsystencji. Nie prędko zdołano przekonać żołnierza o prawdziwe zrzeczenia się tronu przez Konstantego na rzecz Mikołaja. Drobniejsi spiskowi, których się jeszcze rząd niedomacał, a których niezrażało niepowodzenie, marzyli po dawnemu o zastąpieniu formy absolutnej w Rosyi, republikańską, za pomocą masalnego buntu armii przeciw nowemu panującemu, pod firmą wierności jego poprzednikowi, którego, zuchwały uzurpator (jak usiłowali wmówić żołnierzowi) więził w okowach, na dnie podziemnych lochów Piotro-Pawłowskiej fortecy w Petersburgu. Byłoby przyszło niezawodnie do rozruchów i nieszczęść ogólnych, gdyby przeważny wpływ starych generałów, i wysoka powaga naczelnego wodza armii hr. Wittgensteina, nie zapobiegły temu. Przyczyniła się także do utrzymania

¹⁾ Stał w Monasterzyskach na Ukrainie. Ożeniony był z Podoską.

porządku i nadzwyczajna czujność nowego rządu, sprężyć działającego w obronie bezpieczeństwa publicznego, a tem samem i swego własnego. Śledcza komisya, z najpierwszych dygnitarzy państwa złożona, najznakomitsze inteligencye jurydyczne i badawcze, w łonie swoim mieszcząca, pracowała gorliwie nad ekstirpacją najdrobniejszych fibr spisku, jakie się jeszcze w armii i narodzie ukrywały. Nacisk woli Mikołaja naglił jej działalność i dzwonek feldjegrów brzęczał nieustannie po kraju. Doprowadzeni do ostateczności spiskowi, czując się bliskimi upadku i zagłady, jeli się rozpaczliwego środka ratunku. Wmówili żołnierstwu carskiej gwardyi, żeby nie przysięgało na wierność Mikołajowi, albowiem popeliłoby ono zdrady prawemu swemu monarsze, którego zuchwały uzurpator więzi w podziemiach twierdzy. Wierność żołnierska była zatem najgłośniejszą sprężyną owego sławnego buntu 14. grudnia 1826 r. w Petersburgu, o którym rozwozić się nie mam potrzeby, albowiem byłto fakt niejednokrotnie opisany, i nie ma takiego coby o nim nie wiedział. Mężna przytomność Mikołaja pokonała zamach straszliwy. Zagrzniały kartacze. Nawa uniosła ofiary. Pestel, Murawiew, Bestużew, Rylejew i Kochowski poszli na śmierć męczeńską. Krew inaugurowała nową polityczną erę w Rosyi. Mikołaj zasiadł na krwawym tronie.

Pamiętam, że kiedy wieści te doleciały do nas, przerażenie było wielkie. Złę wrócono o nowem panowaniu Bano się nowego monarchy. I cóż dziwnego? W krwawej aureoli buntu i kary, wystąpił on na widownię świata. Pierwszym aktem jego władzy, były ciemnice i katorgi. Pierwszy głos, jakim przemówił do narodu, był wyrokiem śmierci. Cóż dziwnego, powtarzam, że postać Mikołaja, odbiła się złowrogo na tle niedawnej przeszłości, takiej pogodnej i cichej, pod berłem Aleksandra? i że hyperbolizując stosunek moralny tych dwóch monarchów, oplakiwano Aleksandra, jak Tytusa, lub Marka Aurelega, a drzano przed Mikołajem, jak przed Kaligulą albo Neronem?

Dzieło ekstirpacji spisku szło ciągle swoim torem. Rzadziej wprawdzie, chociaż zbyt często opadał miecz Damoklesa na winnych i niewinnych. Porwano z Kliniec doktora Plessla, najslawniejszego lekarza w okolicy i bliską z domem naszym połączonego zażyłością. Żona jego, Izabella z Humnickich, piękna i zachęcająca, była córą pocziwego gniazda, a rodzice jej graniczyli z nami o miedzę. W chwilach wolnych, Plessl, uprawiał, nie bez sukcesu, belletrystykę. Kiedy go uwieźli żandarmy, miał już na dokończeniu wolny przekład głosnej podówczas *Travestierte Encide*, Blumauera, które wierszem przepolszczył, tak samo, jak to uczynił Kotłarewski po małorosyjsku. Bliska zażyłość jego z Pestelem upoważnia mniemać że należał do pierwszorzędných spiskowych, a śmierć jego potwierdza to mniemanie. Otruł się na stacyi pocztowej, Wecie, pod Kijowem. W tym czasie wzięto z domu naszego, majorów azowskiego pułku piechoty, Dreszerna i Białłozora. Porwano z Ładyżyna, zacnego Ludwika Sobańskiego, którego wdowa, Róża z Lubieńskich, żyje dotąd, wciąż zasłużoną otoczona. Nagle wieść przebiegła po kraju o gotującym się ludowem powstaniu — o nożach jakichś i spisach, co kuli niby i toczyli wiejszy kowale, na lachów i żydów, w zamiarze odnowienia scen koliszczyzny, mordów hajdamackich i rabunku. Przeraziło się tą wieścią pocziwe nasze obywatelstwo. Alarm był okropny. Parweniusze zwłaszcza, gnębiciele chłopka *par droit de naissance*, potracili głowy ze strachu. Upakowali naprędce manatki swoje, i wynieśli się cichaczem do Humania pod opiekę władz woj-

skowych. Prąd ogólny uniósł tam i nas, chociaż nie mieliśmy powodu obawiać się ludu, bo nam sprzyjał sercowie. Co to było? wyjaśnić nie mogę. Nie podlega jednak wątpliwości że musiało być coś niedobrego w myśli mas ludowych, kiedy rząd, jakby zapobiegając niebezpieczeństwu, rozesał po wsiach konne komendy, dla zachowania porządku i ochrony obywatelskiej własności.

Peryod tej emigracyi humaniskiej, trwał, o ile sobie przypominam, z parę miesięcy. Natłok był niesłychany. Nie było wolnego kąta w żydowskiej mieścinie.

Pewnego dnia, doniesiono pani Starościnnie hordelskiej, babce mojej, o deputacyi z kilkunastu najzamożniejszych gospodarzy złożonej, co przybyła do niej z majątku, i o posłuchanie prosi.

Przyjęto ją skwapliwie i serdecznie.

Poważni starce zaczęli od tkliwego pozdrowienia swojej pani. Potem przemówili w ten sposób:

— Czego tu siedzisz, w Humaniu, *myłostywa* Pani? Czemuś opuściła dom swój, i nas, dzieci twoich? Czy warto było wierzyć *brechni* złych ludzi, co nagadali tobie, że my, od stu lat przeszło wierni poddani wasi, i szczerze przywiązani do rodu waszego, knujemy zdradzieckie jakieś przeciw tobie zamiary? Gdyby się nawet i stało coś niedobrego w kraju, nie znalazłby się taki pomiędzy nami coby się powahał stanąć w obronie swojej, boś ty dobra pani nasza, matka i opiekunka. Wracaj zatem do nas! Wracaj bez obawy! Nie krzywdź nas podejrzeniem!

Ja wam wierzę, dobrzy ludzie — odpowiedziała pani Starościna ze wzruszeniem — bo czemuż miałabym nie wierzyć wam, kiedy się do żadnej winy względem was nie poczuwam? Prosiłam tutejszego generała, żeby do moich majątków żadnej komendy nie posyłał. Łatwo z tego wnioskować możecie, do jakiego stopnia o waszej uczciwości jestem przekonana. Nie obawa tedy, przyczyną mojego tu pobytu. Przyjechałam do Humania, bo mi o to proszono. Lecz skoro tylko widziacie w tem krzywdę waszą, wróć natychmiast do domu. Jutro, nie będzie mnie już w Humaniu.

Poczem kazała ugościć uprzejmie deputacyę i pożegnała.

Tejże nocy, odjechali pocziwi posłowie do siół swoich, wioząc wieść radością, że dobrą ich Pani, powraca.

Rzeczywiście, nazajutrz rano opuściliśmy Humani, dążąc z powrotem do Lulinie. Dzień był prześliczny. Step sięgał daleko, świeża zielonością traw swoich i zarosli. Bałki płytko wyżłobione, burzanem poroście, snuły się tu i ówdzie, wygiętymi linie, rzekłbys łożyska odwiecznych strumieni, niegdyś pełne ruchu i szmeru, obecnie milczące i smutne. Gdzie niegdzie majaczy kurhan zapomniany, lub drobny ostep zdziczałej kniei. To znowu ciągnęła manowcem wałka czumaków ku dalekim wybrzeżom Euxynu. Czasami, migiała trzoda na paszy — czekał pies strażniczy — albo się pasterz na wierzbowej fletni dumką stepową odzywał. Rzadkie napotykalimy osady, lecz wszszkie swojskie, znajome, przyjacielskie. Naprzód, Łeszczynówka, cicha oaza pustyni, gościnna siedziba szlachejnej rodziny Krehowieckich. Dalej, Bosówka, przedtem Sarneckich, później Tomaszewskich, drobne miasteczko nad jeziorem, po 1831 r. skonfiskowane, i zupełnie zniesione. Dalej, Ohrymowa, wieś ludna, bogata i głośna uprzejmością p. Marka Sarneckiego. Dalej, w nizinie, nad stawem, Baczkuryn, skromne gniazdeczko Humnickich. O werst kilka, milionowej wartości, Monasterzyska, pamiętne raną Stefana Czarnieckiego, i okazałe pałace (z parkiem Miklera) gdzie bywało, p. Leon Podoski, chorujący na magnata, wyprawiał

sute bankiety i bale. Za Manasterzyskami, niedaleko, Frantówka, na kilka dzielnic podzielona, kilku posesorskimi kominami dymiąca, gościnna i pocziwa, ale nudna, nie malownicza, na płaskim stepie rozpostarta. Za nią ludne Podwysokie, przedtem Kłownowskich, później, marszałkowej, z Gruszeckich, Genowefy Dachowskiej, kobiety znakomitej taktem, rozumem i zacością. Kiedyśmy wjechali do Bogdanówki, którą skapstwo i oryginalność właścicielki, p. rotmistrzowej Wróblewskiej, z rodu książąt Czetwertyńskich, nieśmiertelniły, na Ukrainie, ujrzelśmy liczny tłum wieśniaczy, który zatrzymawszy powóz nasz, powitał radośnie powracającą panią swoją. Była to gromada luliniecka, ze starszyzną na czele. Wyszła

o całą werstę od siola naprzeciw babki mojej. Mezczyźni byli w switach swiatecznych. Niewiasty i dziewczki, miały stroje paradne, barwiste i malownicze. Konie ruszyły stepo. Gromada pociągnęła obok powozu, zawodząc chórem pieśni ukraińskie, rzewne i uroczyste. Już się ścieniało. Kiedyśmy wjechali do lasu, co stał zieloną ścianą po obu stronach drogi lulinieckiej, pełniej i dźwięczniej zabrzmiały akordy tych pieśni — a lesne echa wtórzyły im z głębi, jakby dzielając wesele dnia tego. Sędziwa matrona, dostojny przedmiot tej hołdowej owacy, była głęboko wzruszona. I mogłoby być inaczej? Dziękowała dobremu ludowi swojemu — błogosławiła — płakała. I ja, smarkacz, płakałem także — bo kogoż podobna scena nie rozrzewni? (C. d. n.)

PITAGORAS,

WSTĘP Z DZIEJÓW HELLADY

skreślił

DR. WŁADYSŁAW DAISENBERG.

(Ciąg dalszy).

III.
Z powyższego wywodu okazało się, że Hellenowie byli szczepem aryjskim, nie stojącym już w najdawniejszych czasach na najniższym stopniu cywilizacji, t. j. nie szukającym sposobu do życia jedynie w myślistwie i pasterskiej chodowli bydła, lecz zajmującym się już uprawą roli, że następnie Pelasgowie wypierani z Egiptu zajęli naprzód Krete i inne wyspy hellenickie a potem i stały się hellenickie, dokąd też zanieśli i cywilizację Egiptu, że dalej pierwotne plemię hellenickie wzmogło się o tyle, że potrafiło zupełnie wyprzeć z Hellady Pelasgów i ziarno przez tych ostatnich na dziewiczej ziemi hellenickiej posiane, o własnych siłach pod dobroczynnym wpływem umysłowości swej, zamienić w owoce, jakie wydał hellenicki duch w epoce Platona i Aristotelesa. Aczkolwiek Hellenowie sami nie mieli świadomości o wspólności pochodzenia z ludami barbarzyńskimi jak Medami, Persami, Indami, to jednak przez cały ciąg swoich dziejów przechowywali oni u siebie to przekonanie, że wszystkie ludy hellenickie, mimo ich niezliczonych poddziałów, uwidoczniionych w niezliczonym mnóstwie dialektów, z których joński, eolski, dorycki i attycki piśmiennymi były, od jednego praojca pochodziły. To pokrewieństwo hellenickich ludów, wspólność mowy, bogów i religijnych obrzędów, a ostatecznie zwyczajów i usposobień, stanowiły, jak to już Herodot (VIII 140) zauważył, jedyny węzeł utrzymujący jako tako harmonijną jedność tego agregatu ludów bez ładu i składu, jaki Hellada niemal przez cały bieg swej historii przedstawiała. Niezawodnie ta niezawisłość pojedynczych ludów, ba nawet pojedynczych miast hellenickich, przyczyniła się wiele do rozszerzenia wolności, przez które Hellada tak wysoko stanęła i stoi w dziejach ludzkości, lecz znów z drugiej strony prawie jedynie w tej odrębności szukać należy ostatecznej przyczyny upadku Hellady. Jak to już wyżej wspominałem wolność i swoboda wzniosły Hellenów nad poziom innych ludów ówczesnych, podczas gdy znów pycha, zarozumiałość i sobokstwo, słowem brak wszelkiej miłości spowodowały upadek Hellenów, do tego stopnia, że i Demostenesa patryotyczne mowy stały się ostatecznie głosem wołającego na puszczę. To też słusznie dzieje Hellady nazwano dramatem na wielką skalę; one są istotnie dramatem za-

czepniętym z życia całego narodu, będącego podówczas sercem całej ludzkości i dlatego też jak dramat winien być dokładnem oddaniem i prawdziwym obrazem ludzkiego żywota, tak i dzieje Hellady przedstawiają jak najdokładniej i jak najprawdziwiej stan ówczesnego społeczeństwa, a ponieważ i dzisiejszego. Dla kogo człowiek sam w sobie jest alfa i omegą wszelkiej wiedzy, kto ze stanowiska, nie chce powiedzieć materyalizmu i pozytywizmu, lecz chociażby tylko racjonalizmu, uważa za możebne obejść się bez wszelkiej metafizycznej religijnej podstawy, bez tego światła i ciepła słonecznego, które w sposób tajemniczy i nie odgadniony na żywot ziemskich organizmów działa, dla tego żywot Hellady będzie ideałem wszelkiej doskonałości, ale... śmierć Hellady będzie dlań nie do odgadnienia zagadką, a tę rozwiąże tylko ten, kto przeciwstawiając się Heglowi i jego zwolennikom jak Buckle'owi, Draper'owi — wewnątrzno-duchową stronę człowieczą, to jest głównie moralność, uznaje za najgłówniejsze, a nawet za jedyne zadanie działalności człowieka na ziemi; ten zrozumie, że Hellada jak i całe klasyczne pogaństwo runęło, bo tam etykę chcieli zastąpić polityką, bo tam nie chcieli i nie umiano szanować praw jednostki człowieczej, która była, jest i na zawsze pozostanie podwaliną wszelkich organizmów społecznych. Jeżeli każdy człowiek z dziejów Hellady wiele korzystać może, to głównie pouczyłby one tych polityków bezrozumnych, co bądź w złą, bądź w dobrą wierzę, niby dla dobra ogólnopństwowego ograniczają wolność jednostki człowieczej tak w sferze życia rodzinnego, jak i w sferze życia religijnego, kościelnego, — oni wszyscy pracują dla despotyzmu powszechnego.

Cechą pierwszej epoki dziejów historycznych Hellady była walka wszystkich z wszystkimi; nie tylko plemiona z plemionami, lecz nawet miasta sąsiednie staczały ze sobą boje, dopiero religia powstrzymała je poniekąd naprzód przez wprowadzanie rozejmów t. j. chwilowego zawieszenia broni celem wspólnego odbywania ofiar i innych obrzędów religijnych a zarazem także celem wspólnego bawienia się, a następnie przez zakładanie amfiktyonii t. j. stowarzyszeń, których członkowie wzajemnie zobowiązywali się do przyścia sobie na pomoc, jeżeliby jakieś miasto odważyło się wspólną ich własność a zwłaszcza ich wspólne świątynie niepokoić. Posłowie miast

należących do amfiktyonii przysięgali przedewszystkiem w imieniu swych mocodawców, „że nie zniszczą żadnego do tej amfiktyonii należącego miasta, ani też nie pozbawia go płynącej wody“; przysięgę tę przechował nam Aischines (*Grote, l. c. t. I. str. 586*). Ta amfiktyoniczna wspólność przyczyniła się najwięcej do utrzymania tego poczucia wspólności pochodzenia wszystkich Hellenów od jednego praojca, ona też była przyczyną wytworzenia się w całej Helladzie jednych i tych samych obyczajów i zwyczajów. Aczkolwiek wielka istniała różnica między zwyczajami i obyczajami nieokrzesanych mieszkańców Arkadyi (*Polyb. IV. 17—23*) a zwyczajami i obyczajami grzecznych Atenczyków, to jednak w przeciwstawieniu do innych sąsiednich ludów, napotykały u wszystkich Hellenów niejaką wspólność w ich obyczajach i zwyczajach; tak n. p. w historycznej Helladzie nie było nigdzie ofiar z ludzi, wielożeństwa, umyślnych kaleczeń przez odcinanie nosa, uszów, rąk lub nóg, ka-

strowań, sprzedawania dzieci za niewolników, jak to miało miejsce u Kartagińczyków, Egipcyan, Traków, Persów; nigdzie w Helladzie nie uważano za coś sprzawnego biegania nago do mety (*Her. I. 10. Tukydyd. I. 6.*), podczas gdy inne ludy uważały to za wielką nieprzyzwoitość. Ten dobroczynny wpływ religii wypada w Helladzie tem więcej podnieść, ile że pod względem politycznym nie tylko nie było tam żadnej łączności, lecz przeciwnie jak największa wyłączność i odosobnienie do tego stopnia, że obywatel jednego miasta chociażby nawet tak rozległego, jakim tylko wyjątkowo były Ateny, ujechawszy dwie lub trzy mile, już się znajdował między murami innego miasta a więc w granicach innego państwa i był tam już obcokrajowcem, a jako taki bez szczególnego pozwolenia lub co najmniej bez interwencji jakiegoś krajowca, nie mógł ani nabywać własności, ani zawierać związków małżeńskich.

(C. d. n.)

Przegląd literacki.

El-y. Poezye 2 tomy. Kraków 1872, nakładem Nowoleckiego. (Dok.)

Idziemy potem na ziemię włoską, z tułaczem, któremu się zdaje na chwilę, że „nieświadomi wybrzeża, gdzie staniam, spoczniemy tu za nowem czekając świtanem“, ale to złudzenie, bo tułacz w piersiach nosi z sobą ojczyznę. Więc oto w zatoce Baja na ementarzu przeszłych wieków rozpamiętuje życie jakby już po własnym pogrzebie, żali się, że ciemno na świecie; wśród rozkoszy i przy Falernu kielichach zjawia się towarzystwo duchów pomarłych, rozpacz, wspomnienia szczęścia i wyrwywają się z piersi apostrofy do Polski, do życia: „w zawodów ciągłej kaźni, bez litości, bez bojaźni, w niebo wściekła pięść podnosić“... i wreszcie „Na nowy rok“, jakby tablica przykazań dla idących pokoleń:

Rozumu, niezgiętej woli,
Prawdziwej duchowej siły
I serc czystości;
A Bóg nam stanąć pozwoli
I z naszej skromnej mogiły
Dzieci się będą uczyły:
Jak żyć w przyszłości.
W olbrzymim pokoleń trudzie
Badzmy ogniwnem łańcucha
Co się poświęca;
Nie marzmy o łatwym cudzie!
Najwyższy heroizm ducha
Jest walka, co nie wybucha,
Praca bez mienia...

Wśród ciężkich zawodów dusza, którą stać na niewidomy heroizm, zapada nieraz w zniechęcenie, zdaje się pocie, że nawet wspomnień słowiki do snu już się kładą, i tylko puchacz posępny szyderca słyszeć się daje. Ale wnet odradza się jak feniks, ratują go napomnienia matki:

O nie mów dziecie, nie,
Że marny życia trud,
Że wszystko fałsz i brud,
A prawdą tylko złe,
Że trzeba wątpić i sztydzić,
Pogardzać i nienawidzić
O nie mów dziecie, nie!

Na matkę wspomnij swą,
Na miłość co bez plam,
Zwątpieniu zadaj kłam
I obmyj duszę łzą,
Wierz w piękność ducha słoneczną
I w miłość, która jest wieczną,
Na matkę wspomnij swą!

Przenosimy się potem w ojczyste strefy, w góry nad Dunajec; krajobrazy, miłość, sny i marzenia to tylko dolne słupv w gonitwie za ideałami; w „Marzeniu poranem“ mistrzostwo formy doprowadzone do doskonałości, a w „Endymionie“ pragnienie snu, spoczynku, kończy się prośbą o widzenie tryumfu:

Pokaż mi tryumf w przyszłości dniach
Tryumf miłości
Kupiony w łzach,
I ludu mego zwycięstwo jasne
Pokaż nim zasne.

Pokaż, mi cisze wschodzących zór;
Zmartwychwstających
Królestwo dusz,
A dbać nie będę o szczęście własne
Spokojny zasne.....

Więc poeta jako pijak musi pić z pełnego dzbanu fantazyi na przekór temu co go otacza, w sonetach uderza w pojedyncze tony na całej skali uczuć, aż się zdobywa i na staropolski humor, na satyrę w Przedpieklu, gdzie dyabli szlacheica wracają na świat, aby gardłował za utrzymaniem propinacyi.

Na tem kończy się tom pierwszy. Tom drugi zaczyna się narzekaniami — publiczność i poeci robią sobie nawzajem wyrzuty; daje tu poeta wyraz owej wiecznej antytezie objawów powszedniego kramarskiego życia — z światem ideałów. Lecz mylnie się zdaje pocie, że teoria: „tacy poeci jaka publiczność“, jest wyczerpującym rzeczą dogmatem. Prawda, i zacząłem sam od tego ten rozbiór, że artystę karmi jego czas — ale z drugiej strony świadomość i siła poety winna sięgać wyżej, i ścieżki powszedniego życia prowadzić dalej, na wyżyny wielkich celów — wtedy publiczność mimo woli po własnych ścieżkach za przewodem własnych poetów dojdzie tam, gdzie ginie antyteza.

Było to już i u nas i być może jeszcze. Nie myślę robić pocie zarzutu z tego t. *Weltschmerz*, który u niego dosyć często się pojawia, ani posądzać go, że staje się echem Byrona czy Heinego... bo zaprawdę któż może być więcej usposobiony do rozpacz i wątpienia jak poeta Polak! I nie dziwię się, że w sonetach ze sceny świata maluje tylko dzieła udręczenia, na które się wszyscy patrzymy, że nam maluje pobjowiska, straszne znęcania się nad trupami, które i Grotger malował, że go trwoży zagadka smutnych ludzkich losów — nie

dziwie się, lecz wolę poetę gdy w inne strony uderza. Wolę już przepyszne „Freski starożytne,” w których jest klasyczny spokój, rezygnacja, ale i męska niezłomność, w których Herkules uosabia waleczący lud, wolę kiedy poeta pod stopami krzyża szuka w psalmie uspokojenia, albo w elegii za dzieciennym rajem się ogląda. Ale już najwznieślijszy brzmienie inne, weselne tony: Przebudzona, która może trzymać się za rękę z Wiochną Lenartowicz, Różowa chwila, w której cała natura promienieje uśmiechem i miłością; poważna Apoteoza sztuki i jej ofiarników; Z motywów ludowych, utwory, które są tem w poezji z formy i treści, czem w muzyce mazurki Szopena; Kwiaty, w których przygody i refleksje w śliczne obrazy są dziergane; Album pieśni, pełne rojeń, drgnień i spowiedzi duszy i serca. Łąki, morza, góry mają kręgi granice —

Lecz serce, serce człowieka
Wciąż w nieskończoność ucieka
Przez łąki, tęsknoty, męczarnie
I wierzy, że w swoim łonie
Przestrzeń i wieczność pochłonie
I niebo całe ogarnie.

i ciągle woła na człowieka głos: „idź dalej, idź dalej“.

Ten sam charakter ma „Mozajka“ z kilkudziesięciu pieśni, jest tam i cześć oddana Kraszewskiemu, a w prześlicznym wierszu „Wątpliwości“ oddana harmonia świata w obrazku miniaturowym, na który się składają strumień, kwiaty, dziewczę i młodzian — nic więcej, a tyle tam uczucia, szczerości, barw i prawdy! Po przez wszystkie stacje cierpień przechodzimy wraz z poetą na otwarte gościńce:

Przez wszystkie śmierci ogniwa
Postępu ciągnie się nie,
Ból samowiedzę zdobywa,
Chcę cierpieć, kochać i żyć.

W tych słowach mieści się treść życia, dziejów, więc i treść tych dwóch tomów prawdziwej poezji. Cóż nowego przynosi nam poeta? nic i wszystko. Nic, bo to echo życia, które znamy, bo wszyscy to samo czujemy i przechodzimy, bo inni już o tem samem pisali — wszystko, bo tu na każdym szczególe odbija się odrębna, oryginalna indywidualność, odrębny sposób przedstawiania, a forma taka misterna, wytworna, a harmonijna, że niezaprzeczenie za pierwowzór służyć będzie. Więć witając poetę, możemy na zakończenie przesłać mu tylko jego własne słowa: „idź dalej, idź dalej“...

Wiadomości naukowe, literackie i artystyczne.

LITERATURA. Kulickowski Adam. *Zarys dziejów literatury polskiej.* Lwów. Nakładem Karola Wilda 1872. Dzieło to doprowadzone obecnie do najnowszych czasów piśmiennictwa rozbiierzemy obszerniej w swoim czasie.

HISTORIA. Walewski Ant. *Historja wyzwolonej Rzeczypospolitej upadającej pod jarzmo domowe za panowania Jana Kazimierza (od r. 1655—1660).* Tom II. Kraków. Drukarnia Uniwersytecka 1872. Z dołączeniem 88 tablic dokumentów. Niniejszym tomem dzieło jest ukończone.

— Walewski Cyprian. *Jan Łaski, reformator kościoła, wiadomości historyczno-bibliograficzne.* Warszawa. Józef Berger. 1872.

— Olendziński dr. W. M. *Teorye polityczne XVI wieku, poprzedzone przeglądem sporów politycznych w wiekach średnich.* Poznań J. K. Żupański 1872. Dzieło to jest pierwszym tomem pracy zakresłonej na wielki rozmiar noszącej tytuł: „*Historja nauk politycznych od wieku XVI do najnowszych czasów.*“

ARCHEOLOGIA. Euszezkiewicz Władysław. *Zabytki sztuk pięknych Krakowa. I. Pomniki architektury od XI do XVIII wieku, ze stanowiska historyi sztuki.* Kraków. Paszkowski 1872.

NAUKI SPOŁECZNE. *Ekonomika przemysłowa, szereg odczytów w Stowarzyszeniu politechnicznym w Paryżu, ułożonych A. N. Warszawa. Pajewski 1872.* W języku francuzkim zebrał te odczyty od lat wielu w zakładzie wymienionym miewała pan Ewaryst Thévenin, a teraz wychodzą w starannie dokonanym przekładzie polskim. Wszystkie działy ekonomii społecznej są tu bardzo znakomicie reprezentowane pracami J. Garniera, Baudrillarta, Horna, Batbiego, Lewassera, Duvala, Wołowskiego, Courcelle-Seneuille'a, Passy'ego itd. Wydawnictwo zasługuje na rozpowszechnienie.

TEATR. (Br. Z.) Przedstawienie 4-aktowego dramatu J. Korzeniowskiego: „*Dziewczyna i dama*“ (w Piątek d. 30 z. m.) na scenie lwowskiej dało nam poznać utwór dramatyczny z młodocianej zapewne ery tego pisarza, bo noszący na sobie wszystkie piętna twórcy młodego, ognistego, pełnego siły w zarodku, nie opartego jeszcze na prawdzie życia, marzącego postaci i kolizje, któreby miały swą rację bytu, umieszczone na innem tle i mniej jaskrawa malowana barwa. Wyraża się z tego niedoświadczenia życiowego wiele niepodobieństw, fałszywych założeń i nieuzasadnionych zwrotów, zarówno w powiązaniu intrygi, jak w charakterystyce. Daleko sięgającym skutkiem podłożone zbyt blahe i kruche podwaliny, prądem duszy kazało szybować po takich przestworzach, które są jej wstrętami lub wręcz niemożliwymi. Zaślubiny hr. Zbickiego ze wstrętą i cyniczną kokietką nie mają psychicznej podstawy. Garbus upośledzony przez naturę, zapoznany w uczuciach, zgorkniały w osamotnieniu życia a mimo to pragnący miłości i ogniska cichego, w którymby mógł jeszcze przemaryć smętne pasmo ostatnich dni, czy może zaślubić, biorąc rzecz logicznie, wietrznice, które

zna do gruntu, którą pogardza, i u której nie może się spodziewać cieplej duszy? Jeżeli w tem ma być psychologia, to fałszywa, jeżeli to ma być wygrany zakład z przyjaciółmi, to stawka za wielką—bo życie! Sztuka obfituje w sytuacje poetycznie pomysłane, ale na tle salonu niemożliwe, chyba na łonie natury, charaktery przesadne, kokieteryja pani Adamowej wysnuta z wątku nazbyt śmiało zadzierzgniętego, w kompozycji wiele niedostatków. Pokrywa to jednak wszystko pomysł zarówno artystycznie jak obyczajowo szlachetny, owa dążność okazania kontrastów uczucia w salonie a na poddaszu, dykeya zawsze zajmująca, obrazowa i bogata treścią. Pani Nowakowska (pani Adamowa) policyje może tę rolę do swych najudatniejszych; cynizm i brak serca połączają bardzo wdzięcznie z udaną sentymentalnością i pełną elegancją kokieteryja. Jej kontrastem była panna Deryng (Kasia) wlewająca w tę postać takie bogactwo serca i tak wzniosłość cnoty, jaka jest właśnie tylko na poddaszu; a p. Linkowski (hr. Zbicki) celował grą spokojną, rzewną, wolną od wszelkiej, krótkowidzącej przesady. P. Kwieciński (Karol) artysta sympatyczny i uzdolniony w rolach trzpiotów i lekko uczuciowych, zawsze jeszcze zmuszony jest grywać na własną szkodę rolę wymagającą wysokiej oglady i wytwornego tonu. Warto było tę sztukę zresztą wystawić z większą starannością i nie zmuszać też kilku młodzieńców i zastraszonych pokojówek do udawania wielkich dam, do parodjowania... salonu. — Wzorajsze przedstawienie 5-aktowej komedji J. Korzeniowskiego: „*Majątek albo imię*“ nie powiodło się należycie. Pani German (Aniela Bydgowska) pojęła i wykonała tę delikatnie pomysłaną postać za trywialnie, a w niektórych ustępach np. w scenie ze Starzykiem nie grała, ale raczej dowcipkowała w płaski sposób nienaturalną przesadą tonu i ruchów. Pan Dobrzański (Hrabia Janusz) miał parę chwil udanych, ale w ogóle gra była za blada, nie wyczerpująca wszelkich odcieni charakteru, a deklamacyjna z początku raczej skandowaniem, niż dyalogiem. W roli Basi Szumskiej debiutowała po raz drugi panna Lewicka. Nie pojmujemy, jak dyrekeya mogła dawać artystce, okazującej do ról wylącznie naiwnych wysoki talent, rolę silnie uczuciową lub rozlewającą się w tyradach. Jest to chyba chęć skrzywienia już w zarodzie — najpiękniejszego talentu. Kiedy też obaczmy już p. Linkowskiego w roli Romea? Po wszystkim na co patrzmy, sadzę, żeśmy do tego bliscy... Kończąc rzecz, nie umiemy dość pochwał dobrać dla p. Podwyszyńskiego (Wincenty Starzycki) za grę pełną serdecznej werwy i staropolskiego ciepła.

ROZMAITOŚCI. P. Wacław Gasztowt, autor drukowanej w naszym piśmie rozprawy: „O poezji XIX wieku w Polsce i we Francji“, mianowany został profesorem w Collège Chaptal.

NEKROLOGIA. † Lech Nowakowski, najulubienszy artysta naszej sceny, zmarł d. 4 b. m. w 39 roku życia. Cześć jego charakterowi i jego zasługom artystycznym!